

Ilona Witkowska

Wschód

Taka byłam zadowolona: superpomysł, napiszę o Wschodzie. A potem straciłam umiejętność pisania na sześć tygodni. Paraliż. Przecież ja nic nie wiem o Wschodzie. Aż kilka dni temu znaleziono w lesie na granicy polsko-białoruskiej czterdziestą czwartą ofiarę kryzysu humanitarnego. Czy na to właśnie czekałam? Nie wiem, być może. Czterdziesta czwarta ofiara, czterdziesty czwarty martwy człowiek w lesie otwiera mi tekst.

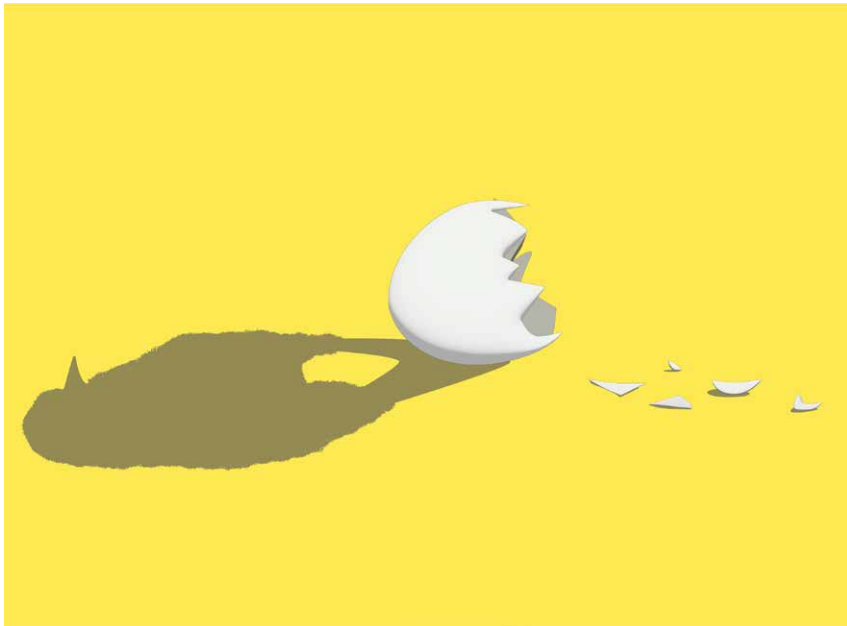
Naprawdę nie wiem, co sobie myślałam – jak ten pies w dowcipie. Że wystarczy rzucić kilka anegdot, zacząć od Dolnego Śląska, posuwać się sukcesywnie na wschód, jak radził Frank w Wolimierzu, opisać Franka, przelecieć te wszystkie „od Konina Azja się zaczyna” i czy to prawda, jakoś w połowie poimaginować sobie o szeptuchach, Bilibinie, wspomnieć, co widziałam pod Brokiem, a potem jeszcze – wujka kolegi, który mieszka w klasztorze w Korei i wyrabia kadzidła, takie ziemiste, niesłodkie, bez patyczka. Tymczasem jest przecież tyle najważniejszych rzeczy, których nie można nie powiedzieć, kiedy się już dostało możliwość. Taka możliwość to wyróżnienie. Wystarczy, żeby sparaliżowało człowieka. Na pewno wystarczyło, żeby sparaliżowało mnie.

Tak bardzo nie chcę palnąć jakiejś głupoty. Z drugiej strony – kimże jestem, żeby jej nie palnąć? Ja nawet nigdy nie byłam w Białymstoku. Mam prawo do głupoty. No, to zaczynam:

Pierwsze, co przychodzi mi na myśl, to oczy takiego jednego człowieka, którego dobrze znam. Są skośne i niebieskie. Turkusowe wręcz, lodowate. Wilcze. Takimi właśnie oczami patrzy dla mnie Wschód. Kocham w nich czytać, choć nie wszystko rozumiem – one z kolei zaglądadają mi do samego serca w sekundę; kiedy są rozbawione, są rozbawione najbardziej na świecie, ale kiedy przepelnia je złość, zwyczajnie się boją. *Brwi sobole, oczy sokole, długie, jasne włosy w gęstą spleta kosę* – brzmiał opis piękności w *Piórku finista jasnego, cud-sokoła*, mojej lekturze dzieciństwa. Finist jasny, pod postacią cud-sokoła przylatywał do Wasylisy, która miała te oczy skośne i jasne, jak sobie wyobrażam, ale złe siostry przerwały ich romans i musiała Wasylisa trzy kostury żelazne zetrzeć i trzy chleby kamienne

zgrzyć, zanim odnalazła ukochanego. Czy nie każdy marzy o takiej miłości? Ja marzyłam. Gdzie taka miłość, rozpozczęta od zaklęcia, wychodzona, oplakana łzą gorącą? No tylko na Wschodzie. Za potwierdzenie niech służy piosenka *Russian Romance* Michelle Gurevich, posłuchajcie sobie.

Druga jest katedra ormiańska we Lwowie. Byłam tam dawno temu. Bywałam. Pojechałam do Lwowa z kolegą, który zdawał egzaminy na Akademię Medyczną (pozdrowiam!). Do katedry chodziłam codziennie. Po pierwsze: to najlepsze malarstwo sakralne, jakie widziałam w życiu – a zdarzyło mi się w Rzymie zostać z kawką wprowadzoną za łokieć przez koleżkę do kościółka na placyku, by w pierwszej nawet zobaczyć Caravaggia – nogi się pode mną ugięły, oczywiście, no ale to było jednak spodziewanie dostojne, święte. I wiele lat po Lwowie, po tych wizytach w katedrze. No więc – malarstwo. Orszak świętego Odylona, żywi jak żywi, przemieszani z duchami, wszyscy o twarzach na wskroś współczesnych: koledzy, normalni ludzie, można stanąć z nimi w szeregu, w pochodzie. *O święty Odylonie, martwych dusz patronie, idziemy wszyscy tłumnie, my, zmarli, przy twej trumnie* – głosi napis, który oczywiście zapamiętałam, bo cóż bardziej nas czaruje niż śmierć. Ale to tylko początek. Jednego z tych dni było nabożeństwo i chciałam wyjść, żeby nie przeszkadzać, ale pozwolili mi zostać, nawet zachęcili mnie, zostałam. Po początkowych formułach, wygłoszonych przez kapłana, ludzie zaczęli śpiewać. Najpierw było słychać głosy kobiece i męskie, starsze i młodsze, osoby śpiewające lepiej i gorzej, ale po chwili zgromadzenie zaczęło brzmieć jednym dźwiękiem. Jeden wspólny głos, silna wspólna wibracja wypełniła katedrę i zrozumiałam. Zrozumiałam, dlaczego ludzie spotykali się raz w tygodniu na mszy – żeby się zgrać, żeby przez wszystkich przeszło jedno drganie; że kopuły są po to, by dźwięk lepiej rezonował, by te fale spełniały jak najpełniej swoje zadanie. Ilekroć przypominam sobie to zdarzenie, przepelnia mnie wiara; zamykam oczy i czuję tę emocję, tę możliwość: prawdziwej, organicznej wspólnoty. W tym rzymskim kościele z Caravagiem – tylko kadzidło, złoto, pochrząkiwania starców w odzieżach od projektantów. Piękno przedmiotu, piękno oddzielne.



Amelia Popescu / PLSP w Supraśl

Następnie jest taki obrazek: jedziemy do Popław, rodzinnej wsi tego człowieka, co go dobrze znam, przejeżdżamy przez Brok. I tam, w tym Broku, oprócz tego, że stoi przepiękna piętrowa szkoła drewniana, koleś obklejał pustakiem drewniany dom. Wtedy zrozumiałam. Zrozumiałam wstyd i lęk tych z drewnianych chat o powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych w obliczu wielkich miast Zachodu, w obliczu niemieckich kamienic z mieszkaniami o powierzchni setek metrów, ze ścianami okien od sufitu do podłogi, cztery metry wysokości. Bo ja jestem z tej niemieckiej Polski: murowane domy, uregulowane rzeki, pałace, ogrody, muzea, mosty, place. I zobaczyłam tę Polskę, która zajmuje większość Polski: krowy, kury, zagrodki, grządki, płotki, kościoły, synagogi, cerkwie, wszystko z drewna. *Nasze błota*. Dla mnie to egzotyczne i tajemnicze, kraj na wakacje. Myślę, że chciałabym być stamtąd, gdybym stamtąd była. No ale co ja mogę wiedzieć. Jeszcze dwadzieścia lat temu wszyscy rodacy jak jeden mąż udawali Amerykanów, żeby pięć lat później pozostawać nagle Europejczykami. Może też wstydziłabym się, że jestem z domu, co to krzew aronii obok jest od niego większy, i że nie ma łazienki. Nie sądzę, ale skąd mam wiedzieć. Moje korzenie najdalej na Wschód to sięgają Pragi warszawskiej. No, jedna babcia przyjechała z Gruzji w 1918 roku; Gruzja to jeszcze inny Wschód, Gruzja to Kaukaz. O tym,

oczywiście, też nic nie wiem, tylko przypomina mi się taki pan z jakiegoś filmu dokumentalnego, który – pytany, czy widzi możliwość pokoju w Czeczenii bez udziału Rosji – odpowiedział: panie, tu jest Kaukaz. Co miało oznaczać, że ludzie po prostu kochają się zabijać na tej ziemi i nic tego nie zmieni. Czasem się zastanawiam, jak dużo tej kaukaskiej konstrukcji mam w sobie, ile we mnie tego ducha, co każe rzucać się do gardła przeciwnikom w najbliźszych sprzeczkach, cierpieć, nienawidzić i kochać to cierpienie i tę nienawiść. Oczywiście nie mam pojęcia. Rzecz jasna, nigdy nie byłam w Gruzji.

Tak dużo mówię tu o sobie, bo przecież ja też jestem Wschodem. Zachodem wschodu. Wschodem

zachodu. Wszystko zależy od tego, gdzie się znajduję. Jak każdy w tym kraju, jestem miksem, bukietem ziół, kolażem. To my: najlepsi z najgorszych i najgorsi z najlepszych – cóż za uwalniający bajzel oczekiwań i postaw.

Jest u nas taka huśtawka, na której huśtasz się w przeпад – i to jest bardzo przyjemne. Można zginąć. Nawet żeby dojść do tej huśtawki, trzeba tak podejść, że można zginąć. I to jest też moja fantazja o Wschodzie – że tak jest na Wschodzie zawsze. Obowiązkowa dawka cierpienia i banalnego okrucieństwa świata na każdym rogu, tuż obok wielkie piękno, święte drzewa, „Cichy Don”. Obowiązkowa dawka obłędu – jak powiedział kiedyś tak po prostu o życiu Robert „Ryba” Rybicki.

Można wyjść śmieci wyrzucić i zniknąć bez śladu. Z dowolnego powodu powiedzieć: pierdolę to, idę do lasu. Jak Wissarion, który porzuciwszy pracę moskiewskiego policjanta drogówki, ogłosił się Jezusem i założył Nowe Jeruzalem w tajdze. Zawsze znajdzie się grupa pragnąca ująć przed zepsuciem świata, zabrać ich ze sobą: stworzyć religię. Albo odwrotnie, jak dziesiątki eremitów: jeść pędy paproci, pokrzywy i wszystkie grzyby; nie czuć cienia lęku przed wyobrażoną leśną zjawą. Samemu nią być. Mieszkać w ziemiance, nie mówić do nikogo tygodniami. Mieć oczy zwierzęcia. Ale nie takiego, na które się poluje, tylko takiego, które poluje. W tych oczach: że zabiloby nie chętnie, ale też

nie niechętnie. Po prostu. Płakać przy piosence *Pójdę mamę w dalszą drogę*, jednocześnie łamiąc kręgosłupy wrogów. Nawet nie wrogów. Każdego, jeśli najdzie ochota. Albo szaleństwo. Dawać się nachodzić: ochocie, szaleństwu. Mówić: przyszedł na mnie wielki sen. Nie podejmować decyzji o takich stanach, przyznawać im autonomię, a nawet władzę nad sobą. W końcu: co ja wiem, co ja mogę? Do niektórych psów się po prostu nie podchodzi, bo gryzą i to jest ich święte prawo, tak sobie myślę o Wschodzie. Każdy ma duszę i honor i choć wybór jest zawsze między życiem a śmiercią, a skóra goła, to do tego chcę być podłączona, za tym tęsknię, tego marne resztki pielęgnuję w sobie. Nie chodzi o to, żeby co rano boso iść drwa rąbać w śniegu, ale żeby w oczach widać było, że jest taka możliwość, a w kieszeni zawsze jest nóż. Nie przyjmujemy nic mniej niż wszystko. Ma być rozdzierająco. Jeśli nie krwawie, nie ma zabawy. Romantyczne i banalne? Nic nie poradzę, że pociągają mnie wyłącznie mężczyźni na czas wojny, tacy, co to codziennie przemagają w sobie mordercę. To pewnie skutek niewłaściwych lektur. Tak samo jak to, że takie charakterystyki sytuacji na Wschodzie.

Tam też sytuuję stare, dobre pojęcie kary za grzechy. Zaraz obok słów jak ojcowizna albo to, że życzeniem przedśmiertnym babci było, żeby wnuk ściał włosy. I ściał, bo takim życzeniom się nie odmawia. W każdym razie – na Wschodzie. Za niedopełnienie rytuału na Wschodzie wszechświat rozdaje kary. Różni życzliwi mi ludzie próbują przekonać mnie, że wina to czczy koncept, ale nikt nie zmieni mojego zdania, że za naruszenie równowagi

w świecie duchów trzeba zapłacić. Kara. Jak masz grzech, to masz grzech i żadne zaprzeczenie cię od niego nie uwolni. A kiedy przychodzi do ciebie ktoś zmarły, to rozmawiasz z nim uprzejmie, im dalej na Wschód, tym swobodniej, taką mam intuicję. Aż siedzisz przy stole ze zjawami, potworami, pomniejszych bóstwami i duszami bliskich, jak *Wujek Boonmee, który potrafi przywołać swoje poprzednie wcielenia*, dla każdego masz czas. To dopiero Wschód – im bardziej odległy, tym więcej wyobrażam sobie refleksji, a mniej zębów. Coraz dłuższe pauzy między zdaniem, dłuższe spojrzenia. Oczywiście to tylko moje rojenia. Okrucieństwo wielkich fabryk, organizmu zbiorowego i więzienia w pracy nad siły jest tak samo okrutne jak gwałt butelką przez żołnierza dla zabawy.

Nigdy nie zapomnę ostatniego seansu w kinie NOT-u – to był *Ładunek 200*. Po obejrzeniu tego filmu milczeliśmy z kolegą godzinę, nie patrząc na siebie, bo tego nawet nie da się zagadać. Nagi nerw. I chociaż po obejrzeniu powtórnym, zadomowieniu się w tym horrorze, zaczęłam myśleć o nim w kategoriach dzieła głęboko estetycznego i ponieważ kampowego – już doskonale umiem zagadać ten film – to wymagało to ode mnie zaprzęgnięcia do pracy wszystkich moich najzachodniejszych wdruków racjonalnej badaczki kultury. Pierwszy kontakt był jak cios w szczękę. Do dzisiaj boję się obejrzeć *Idź i patrz*. Nie chcę tych obrazów. Najbardziej nie chcę obrazów stopy okopowej, zapadniętych, sinych warg dzieci i nieprzytomnych oczu dorosłych na granicy śmierci, na granicy Polski, w tej wspólnie puszczy, w której można zniknąć, a w której się ginie.

ILONA WITKOWSKA

– poetka; autorka książek *Splendida realta* (WBPiCAK, 2012), *Lucyfer zwycięża* (Ha!art, 2017) i *gdzie są moje dzieci?* (Papier w dole/Katalog press, 2021); współautorka scenariusza do etiudy *Jeśli będziesz długo siedzieć w ciszy, przyjdą do ciebie inne zwierzęta* w reżyserii Jagody Szcel (*Erotica 2022*, Netflix, 2020) i jedna z autorek projektu *Nieswojość* (Warstwy, 2019); mieszka w Sokolowsku.

